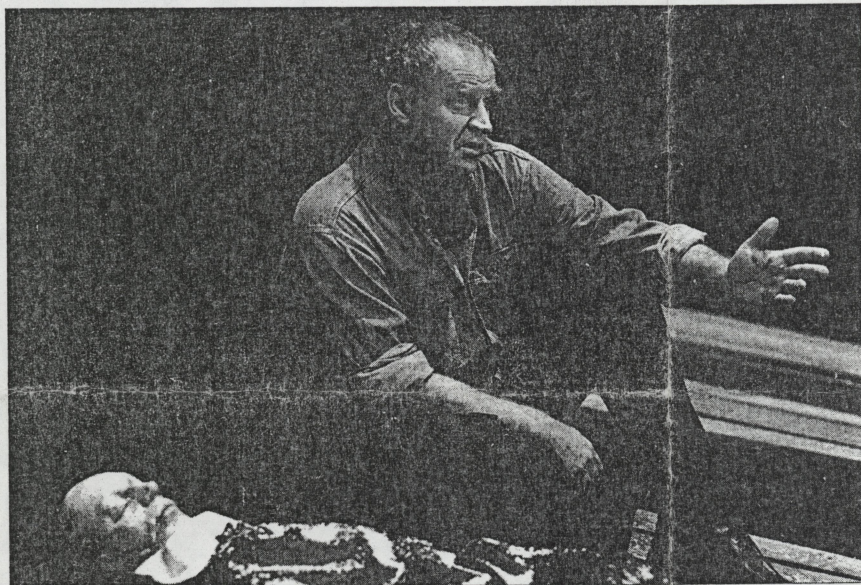


PREMIERA

Antygona z Nowego Jorku

Na scenie warszawskiego teatru Ateneum
spłótła się literatura z historią i – Warszawa z Nowym Jorkiem.



JANUSZ GŁOWACKI, OD LAT NAZYWANY W WARSZAWIE „GŁOWĄ”

Antygona w Nowym Jorku Janusza Głowackiego dzieje się w paskudnym, zaśmieconym parku Tompkins Square, po wschodniej stronie dolnego Manhattanu, dokąd lepiej nie chodzić wieczorem. Jej bohaterowie to Vladimir i Estragon z „Czekając na Godota” Becketta albo AA i XX z „Emigrantów” Mrożka. Tutaj są nowojorskimi bezdomnymi, którym, parę lat temu, rzecznik prasowy rządu, minister Jerzy Urban zaoferował w imieniu PRL śpiwory. Sasza to Żyd, niegdyś malarz abstrakcjonista z Leningradu (obecnie Petersburg), drugi, Pchelka, to polski, głupi cwaniaczek. Jest jeszcze Antygona – Portorykanka, która w tym świecie bez wartości próbuje odnaleźć miłość i godność wyrażającą się w rytuale pogrzebu. Jest też Przodownik Chóru – nowojorski policjant, który w warszawskim przedstawieniu wygląda zupełnie jak porucznik Kojak z serialu, niegdyś równie u nas popularnego jak „Stawka większa niż życie”.

Niedaleko od Tompkins Square, na tak samo okupowanym przez bezdomnych brudnym placu, oglądałem w roku

1986 nie Antygone, ale Iwonę. „Ivonne, Princess of Burgundy” („Iwonę księżniczkę Burgunda”) Gombrowicza, którą wystawiła tam, za darmo i bez dotacji, grupa młodziutkich, bezrobotnych amerykańskich aktorów, wśród których nie było ani jednego Polaka. Janusz Głowacki kończył wtedy pisać „Polowanie na karaluchy”, zaraz potem zagrane, w gwiazdorskiej obsadzie, na Broadwayu. Do Tompkins Square Park chadzał z wnuczką (oczywiście w dzień) profesor Jan Kott. Ale tylko kiedy przyjeżdżał do Nowego Jorku. Bo mieszka od ponad 25 lat w Stony Brook (Kamienym Potoku), na Long Island, i wykładał tam na Uniwersytecie Stanu Nowy Jork. Zaproszono go, kiedy wydał książkę o Wielkim Mechanizmie w sztukach Szekspira, uznanym za symbol epoki, która właśnie się skończyła.

Janusz Głowacki, w Warszawie nazywany „Głową” i uważany przede wszystkim za playboya, chociaż napisał tak dobrą sztukę, jak „Kopciuch”, do Nowego Jorku pojechał prawie dwanaście lat temu. „Polowanie na karaluchy” to był tam prawdziwy sukces. Ale „Głowa” nie po-

szedł za ciosem, nie przemienił go w zamówiony już scenariusz filmowy. Co robił przez ostatnich sześć lat? Podejrzewam, że włóczył się po Nowym Jorku. Nie tylko po dolnym Manhattanie, ale i nad Hudsonem, nad East River, wzdłuż Atlantyku. Zawędrował na City Island i zobaczył ustawione rzędem trumny bezdomnych, które wywozi się barką ku majaczącej w oddali Hart Island, żeby je tam zakopać. Stamtąd Sasza i Pchelka, opłaceni przez Anitę, wykradli zwłoki jej umiłowanego Johna i pogrzebali na Tompkins Square. To cała akcja „Antygony w Nowym Jorku”. A treść tej sztuki, to opowieść o „byłych ludziach”, którzy nie mogą nic zrobić, niczego zmienić, nie umieją już kochać ani nienawidzić, a wszystko, o czym marzą, jest na pewno fałszem i złudzeniem. Jak pochowane z czcią przez Anitę rzekome zwłoki Johna, którego Sasza i Pchelka pomylili z jakimś innym nieboszczykiem.

Głowacki napisał, po raz pierwszy po angielsku, bardzo amerykańską sztukę, w której pobrzmiewają echa Thorntona Wildera, Johna Steinbecka i Sama Sheparda. Ale jednocześnie opartą na otwartych skojarzeniach z awangardą nazywaną niegdyś „teatrem absurdu” i w rezultacie zbliżoną do okrutnego i beznadziejnego naturalizmu z początku wieku, do „Na dnie” Gorkiego. To zarazem siła i słabość jego „Antygony”. W tym perfekcyjnym przetworzeniu doświadczeń poprzedniej formacji pisarskiej nie mówi on nic ponad to, co już zostało powiedziane.

Warszawski spektakl, poprzedzający waszyngtoński, w Arena Stage, Izabella Cywińska wyreżyserowała z umiarem, dbając o tekst i atmosferę, w czym bardzo pomógł jej scenograf, Jerzy Juk-Kowski. Znakomita rola to Sasza Janusza Michałowskiego, rola przerysowana to Pchelka – uosobienie wszystkich wad Polaków – Piotra Fronczewskiego i bardzo dobra rola to Anita Marii Ciunelis.

Wieczór był uroczysty. Dostojni goście, z panią premier na czele, mogli posłuchać dosadnego języka, rojącego się od różnych motherfuckers i cocksuckers, wspaniale przez Głowackiego przełożonych z amerykańskiego na polski, i zadumać się nad Wielkim Mechanizmem ludzkiej biedy i nieszczęścia, który okazuje się niezależny od wszystkich ustrojów i epok historycznych.

A profesor Kott napisał w „Dialogu”: „Za trzy najważniejsze polskie sztuki ostatnich lat uważam «Emigrantów» Mrożka, «Do piachu» Różewicza i «Antygone z Tompkins Square Park» Głowackiego. Kropka!”

Jan Kłossowicz